

Morgenbever. Mylacy
curmistrz.

BIBLIOTEKA MRÓWKI. TOM 99.

ALEKSANDER MORGENBESSER.

MYŚLĄCY BURMISTRZ.

POEMAT HUMORYSTYCZNY

W 7 PIEŚNIACH.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 79
Tel. 26-68-63

LWÓW.

KSIEGARNIA POLSKA.

Z I. Związkowej Drukarni we Lwowie, Hotel Żorża.

1881.

<http://rcin.org.pl>



4910

PIEŚŃ I.

Od Jarosławia dwie mile — mniej więcej
Leży miścina. Był tam gród książęcy,
Roił się niegdyś życiem karmazynów,
Dziś jest ojczyzną Izraela synów.
Są i mieszczanie w kapotach z granatu
Pokorni ku tym, co panują światu.
Więc miłość dawną dla królów z swych kości
Na Srulów, Icków przenieśli wielkości.
Lecz mają ratusz, *dziś*, co jutro będzie
Gdy kahał stanie najwyższy w urzędzie?
Lecz dziś jest ratusz : dom jednopiętrowy
Z bramą na dole, łatany, lecz zdrowy,
A gdzie jest ratusz, burmistrz jest i koza,
Gdzie błędne syny zdają rygoroza.
Są pachółkowie, pałasze przy boku,
Z miną junacką w ciemności i zmroku.
Bo w dzień to ludzie nie dzisiejszej daty,
Jakby pomarli przed dziesięcią laty.
Jest tu i dobosz z bębniem dla olbrzymów
Co niegdyś budził niedzwiedzie do czynów,
A dziś ogłasza radzieckie termina
I podatkowe spłaty przypomina.
Jest kasjer z kasą we własnej kieszeni,

Pisarz co sam się kontrolorem mieni
 I pan sekretarz co czyta gazety,
 Panny Anieli piastując sekrety.
 Panna Aniela? to burmistrza dziecię,
 Dwudziestoletnie, zdrowiutkie jak życie!
 Lecz pan sekretarz ma i inne cnoty:
 Sikawkom wielkie oddaje pieśczoćy;
 Więc straż ogniowa jemu powierzona,
 Oddane beczki i kadź napełniona,
 Nawet konewki, zdradliwe bosaki
 Bo wszystkim afekt oddaje jednaki.
 Były i wozy, lecz ich nikt nie łaknie
 Bo im brak koni, choć osłów nie braknie.
 Wszystko to w bramie ratuszowej stoi,
 Więc się pożaru nikt w mieście nie boi.

Wszystko to piękne, lecz nie koniec na tem;
 Jest tu — o zgrozo! apteka, a zatem
 Jest i aptekarz, tu kamień zgorszenia,
 Źródło pożarów, sporów i zwaśnienia —
 Bo pan aptekarz gdy nie burmistrzuje,
 To wiecznie z każdym burmistrzem wojuje,
 To tu, to wszędzie, tak było, tak będzie —
 Więc i nasz chemik w malkontentów rządzie.
 Gdy ten na prawo, to tamten na lewo;
 Gdy ten w buciku, ów w bucie z cholewą;
 Ten na wotywy chodzi, ów na sumy,
 Ten zwykł w starosty, tamten chodzi w kumy,

Gdy ten je mięso, tamten cielecinę,
Gdy ten włoszczyzny, tamten leguminę,
Ten pije piwo, ów wino smakuje,
Ten nic nie robi — a tamten próżnuje.
A gdy do rady lichu ich przyniesie,
Patrzą na siebie jak dwa wilki w lesie.

Szcześciem pan burmistrz miał żołądek strusi;
Ani go astma ni kaszel nie dusi,
Ani mu żona nie cierpi na mdłości,
Więc żadnej nie ma z apteką styczności.
Zresztą w ogrodzie ma własne rumianki,
Krople miętowe na chłodne poranki,
Ma i szałwję, kwiat lipowy, bzowy,
Piołun, berberys, owoc akacjowy.
Mając więc własne zdrowe kordyały
Nic by z apteki nie wziął za świat cały.
Lecz się nie słusznie na aptekę zżyma,
Dążeń zabójczych w aptekarzu nie ma.
Czasem trucizny na muchy lub szczury
Żąda kto z mieszczan — aptekarz da lury,
Weźmie zapłatę — lecz szczury z muchami
Dom mu wywróćą do góry nogami.
To mi trucizna! a nieborak krzyczy
Na aptekerza, jak brytan na smyczy.
Ale pan burmistrz nie wierzy w te cnoty,
Do arseników nie czując ochoty.
Czy to się godzi? Co świat mówi o tem?
Dosyć że obaj żyją jak pies z kotem.

Lecz co się dzieje w ratuszu? nie wiecie;
Chodźmy tam, patrzmy, tylko przyzwoicie.
Pan burmistrz obiad zjadł, i wstał od stołu,
Wstała i pani, i panna Aniela,
W kuchni kucharka ociera z popiołu
Rądle i miski i dla przyjaciela
Chowa pod łóżko najlepsze przysmaki:
Dwa knedle w maśle i trzy duże raki.
Dziewka palcami wyciera talerze,
Resztki słodczy z lubieżnością liże.

Ale pan burmistrz nie w tak dobrym sosie.
Zjadł knedle, raki, kapłona w bigosie,
A spać nie idzie, lecz po izbie chodzi,
Po pustych ścianach błędnym wzrokiem wodzi,
Milczy i wzdycha, a ciężkie stąpanie
Wzniesca w podłodze spazmatyczne drganie.
Mniejsza by o to, ale pani żona
Tą promenadą zaniepokojona;
Coś zjadł nieborak! więc centurję warzy
Z wielkim pospiechem, po palcach się parzy,
W końcu płyn leje gorący, kipiący
Do filiżanki, mocno woniejący.
Niesie ten specjał, i przed mężem staje
I zdziwionemu do picia podaje.
„Napij się mężu, to ci ból uśmierzy,
Pewnie ten knedel w żołądku ci leży“;
Ale pan burmistrz marsem nań potoczył,
Machnął prawicą i w inny kąt zboczył.

Wyszła małżonka, łąą oblicze rosi,
 Córkę Aniele do konsilium prosi.
 A kuchareczka o knedlach słyszająca,
 O Adonisa swego się bojąca,
 Sięga pod łóżko, knedle wydobywa,
 Oknem wyrzuca, tak była lękliwa!
 Przyszła Aniela, więc radzą we dwójkę:
 Argumentami walną toczą bójkę,
 A tej narady rezultat jest taki,
 Że ojca trapią nie knedle, lecz raki.
 A kuchareczka o rakach słyszająca,
 O Adonisa swego się bojąca,
 Sięga pod łóżko i raki z węsami
 Tą samą drogą rzuca za knedlami.
 A szczury raptem zewsząd się zbiegają,
 Do sutej uczyty rade zasiadają.

W skutek konsylium Aniela się zrywa,
 Cynamonowe krople wydobywa
 I cukier kładzie w łyżeczkę od kawy,
 Spiesząc do ojca śród troski, obawy,
 „Weź ojcze krople, to raki niecnoty
 Takie nam wszystkim sprawiają zgryzoty!“
 — „Idź dziecko z Bogiem!“ pan burmistrz
 [odgadnie,
 Odeszła córka w smutku i bezradnie,
 Więc trzeba wzmocnić eskulapów radę;
 Bo nieprzyjaciel gotuje tu zdradę.
 Przeto dobosza szlą po sekretarza;

Czasem konceptem ruszyć mu się zdarza,
Więc i dziś ruszy.

Więc dobosz biedaka

Nie zjadłszy knedla, nie liznąwszy raka,
Z pustym żołądkiem bierze za pas nogi,
Spiesząc co żywo w Naftułychy proggi.

A Naftułycha pierwszy hotel dzierży;
I bilar pierwszy dla złotej młodzieży,
Więc pan sekretarz do młodych liczony,
Tu po obiedzie odbywa sezony.

Wolałby wprawdzie przy Anielci boku,

Ale się boi niechętnego wzroku

Pana burmistrza. Więc kulą po stole

Rozpędza nudy po lichym rosole.

Nadchodzi dobosz, zwany pan Makary,

Z knedlów i raków poniosłszy ofiary,

Z lekkim żołądkiem, lecz z ciężką żałością

Przed sekretarzem staje jegomością.

„Panie łaskawy — na ratuszu bieda!

Pańska przytomność zapewne się przyda,

Prosi i pani i panienska prosi“.

Więc pan sekretarz z karczmy się wynosi.

Przybył na ratusz na skrzydłach miłości;

Naprzód szacunek oddaje jejności,

Potem panience — bo wie co się godzi;

Wszak z jarosławskich magnatów się rodzi.

A pani we łzach spowiada swą dołę,

Panienska łkając oznajmia swe bole,

A pan sekretarz nie rozpacza wcale,
 Taką odpowiedź dając na te żale:
 „Kochane panie! nie ma tu słabości;
 Ani te z knedlów ni z raków nudności;
 Tylko aptekarz dziś rano na radzie
 Pana burmistrza uraził przy zwadzie.
 Bo choć jurysty nie żąda ustawa,
 Brak mu zarzucił znajomości prawa,
 Grożąc że w nowych wyborach okaże,
 Gdzie pełne cyfry i nulle wymaże.
 Wybiorą męża, co to zna patenty
 I adwokackie odgadnie wykręty. —
 Na to pan burmistrz mocno się rozperzył
 I zamknął sesję i drzwiami uderzył“.
 Więc uradzono wysłać sekretarza
 Do pryncypała — na parlamentarza.
 Wchodzi pan Karol do przybytku pana,
 A burmistrzowa pod drzwiami schowana
 Nadstawia ucha — słucha co to będzie,
 A pan sekretarz tak głosi orędzie:
 „Panie burmistrzu! napawasz nas trwogą
 Żeś tak posepny i milczysz złowrogo.
 Przerwij milczenie — powiedz co cię dręczy?“
 — Spojrzał nań burmistrz: „sekretarz mię męczy,
 Wolno mi milczeć, żyję niezawisłe,
 Idź — nie przeszkadzaj, wszak widzisz, że *myślę*“.
 — Wypadł sekretarz — przebóg co się dzieje!
 Czy nowy potop może świat zaleje?

A żona wpada do izby mężowskiej
 I ręce łamie dla piekелnej troski.
 „Co ci się stało mój mężu — ach co to?
 Żyjesz tak długo z wrodzoną nam cnotą,
 Nigdy o niczem *nie myślałeś* przecie,
 A spałeś dobrze i w zimie i w lecie,
 Jadłeś i tyłeś, a dzięki zacności
 Do burmistrzowskiej doszedłeś godności.
 Na co ci *myśleć*, niech myślą pisarze
 I co pigułki kręcą, aptekarze“.
 Wybiega z izby, błędne koła kreśli,
 „Córko — nieszczęście — ach twój ojciec *myśli!*“
 Panna Aniela westchnęła głęboko,
 Łzami zalała najpiękniejsze oko,
 Wpada do kuchni, i krzyczy zalekła :
 „Ach ojciec *myśli!*“ aż kucharka jęła.
 Więc kuchareczka strachem przerażona
 Woła „*pan myśli!*“ a ta myśl szalona,
 Budzi dobosza z słodkiego dumania
 Co już układał ślipie do drzymania.
 Zerwał się biedak, pobiegł na strażnicę,
 Pochwycił bęben, oraz dwie palice,
 Wybiegł na rynek i rozkraczył nogi,
 A miejska gawiedź ustępuje z drogi.
 Wreszcie uderzył werbla — rzekłbyś gromy!
 Jakże tu człowiek czuje się znikomym!
 Więc drugi werbel! och, naród zagłuszył!
 Tkliwi żydkowie zatykają uszy;

Dosyć już — dosyć — dziękujemy, dzięki!
O swe uszowe bojąc się bębunki.
Więc trzeci werbel! ach dureń, ladaco,
Na co on bęben tak wybija, na co?
Nareszcie skończył i patrzy w około.
A tam szewczuki płasają wesoło;
Zbiegło się także dziesięciu krawczyków,
Trzech od kowala, siedmiu bednarczyków,
Sześciu hultajów było od stolarza,
Jeden od tkacza, czterech od slusarza,
Wszyscy niezgorsi, ale na bok żarty,
Już to szewczuki największe lamparty!
Było tu także żydziaków nie mało,
Lecz coś im z głowy jarmułki zwiewało
I różne im się przytrafiały sztuki;
Ej — ja się boję — czy to nie szewczuki!
Zbiegli się także stateczni mężowie,
Subjekt z apteki i dwaj chirurgowie.
Profesor z sztuby, zakrystjan od fary,
Pięciu krupiarzów, a reszta niezdary.
Była płeć piękna reprezentowana:
Jedna lekarka madamą nazwana,
Były dwie mamki i trzy pokojówki,
Jedna kucharka i dwie puste główki.
„Cicho! panowie, sławetni mieszczanie,
Słuchajcie żydzi i wy chrześcianie,
I wy wisusy w patynkach i boski:
Niech się z tąd każdy w spokoju wynosi,

Niech nic nie mówi, nie świszcze, nie kicha,
Nawet nie kaszle, głośno nie oddycha,
Bo ot — słuchajcie, wy coście tu przyszli,
Słuchajcie mówię — nasz pan burmistrz *myśli!*⁴
Niezmierny popłoch sprawiły te słowa,
Wojna domowa powstać z tąd gotowa,
Jak grom uderzył między wszystkie stany.
Mruczą i huczą jak morskie bałwany.
Czego się trwożą? — Coś to niebywałe,
Bez tego żyło się przez wieki całe!
A żydki: błazen — dureń nad durniami!
A jemu na co bawić się myślami.
Tylko szewczuki pomimo zakazu,
Z dwudziestu dziobów swisnęli od razu.
Patynki w górę rzucają nogami,
Hej ha — niech myśli — biją się piętami,
Zmykają trąbiąc nadętymi usty.
Więc w oka-mgnieniu cały rynek pusty.

PIEŚŃ II.

Myślił pan burmistrz i wymyślił przecie,
Co? — cierpliwości! zaraz się dowiecie.
Wewnętrzzną burzę tak tem uspokoił,
Że się położył, i drzemkę podwoił;
A burmistrzowa Bogu składa dzięki,
Że męża zwolnił od myślenia męki.
Siadła z robótką w gościnnym pokoju,
Wolniej oddycha po wewnętrznym boju.
A w drugim kącie na krzeselku siedzi
Panna Aniela, rzekłbyś przy spowiedzi;
A pan sekretarz w jej obliczu tonie,
Śmiały, bo burmistrz w morfeusza łonie.
Bo trzeba wiedzieć, że burmistrz nie skory
Sekretarzowe pochwalić amory,
Krzywo nań patrzy, bo komisja owa,
Gdy pan auskultant przybywszy z Rzeszowa,
Siedział tu tydzień, i po za oczami
Tak się unosił nad córki wdziękami,
Wielką otuchę do serca mu wlała.
Bo choć auskultant dziś figurka mała,
To jutro może wyrość na olbrzyma,
A co sekretarz? Porównania nie ma!
Powrócił spokój i w kuchenne progi;

Tam się znalazły wczorajsze pirogi,
Więc kuchareczka przysmaża, pietrasi
I doboszowi tak czule się łąsi,
Że pan Makary dzisiaj głodniusieńki,
Je — zjadłby jeszcze kuchareczki wdzięki.
W końcu i szczury po tak sutej strawie
Już się wyniosły, by przy czarnej kawie
Odpocząć nieco, i w wonnym bufecie
Przedrzymać trochę przy świeżej gazecie.

Tymczasem zegar niecnota uderzył
Trzecią godzinę, a niktby nie wierzył
Że już tak późno, ni panicz ni panna,
Lecz chcąc by służba była nienaganna,
Idzie sekretarz do Registratury;
Więc rubrykuje, wypełnia filury.
Ale i burmistrz wstał ze sofy cało,
By — co wymyślił oblec w żywe ciało.

I cóż wymyślił? Tych myśli wynikiem.
Ze do soboty robi się prawnikiem.
Praw się nauczy, i odtąd na radzie
Nie da wybujać aptekarskiej zdradzie.

Więc każe znosić z izby posiedzenia
Wszystkie foljały, idąc od wcielenia,
Po dziś dzień. Przeto Maryi Teresy
Są tu patenty, Józefa karesy,
I Leopolda dekreta, ustawy,

Franciszka również składają na ławy
I Ferdynanda, Pillerowskie zbiory —
Prowincjonalne lojalności wzory
I reichsgesetze wnoszą tu kosztami.
Objął się burmistrz za głowę rękami,
Tak się przestraszył nawału mądrości;
I źródła cnoty i sprawiedliwości.

Patrz, założono trzy stoły książkami;
Jedną komodę z trzema szufladami
I dwa stoliki. Burmistrz się czerwieni,
Włożył bezwiednie ręce do kieszeni,
Pot nań wystąpił zimny i kroplisty;
A był to dowód trwogi oczywistej.
Trwożył się tyle rozumu szczytności,
I z tym olbrzymem bliższej znajomości;
Westchnął trzy razy — co krok przystępuje,
Co raz się bliżej książkom przypatruje,
W końcu przeżegnał się, za księgi chwycił,
Z bijącym sercem z każdej coś przeczytał,
Trwało to trzy dni, do północy ślęczył,
Nic nie zrozumiał, daremnie się męczył.
A dnia czwartego zaniechawszy męki,
Sam się przekonał, że był głupiusieński.
Lecz, co tu robić? po mieście już krzyczą
Ze wnet burmistrza w jurystów policzą,
Nawet aptekarz kpinkując, powtarza
Ze się w jurystę burmistrz przeobraża.
A więc koniecznie trza z prawa coś liznąć,

Na przyszłej sesji malkontentom bryznać,
 Oślepić blaskiem prawniczej mądrości
 I zamknąć usta aptekarskiej złości.
 Więc na los szczęścia puszcza się w zawody;
 Na chybił-trafił wziął księgę z komody,
 Tu skarb ukryty Temidy odgrzebie,
 Ten go pocieszy w dzisiejszej potrzebie.
 Otwiera z środka, patrzy w wszystkie kąty,
 Rok : osiemsetny pięćdziesiąty piąty,
 A dzień i miesiąc? Lutego piętnasty,
 Papier niegładki, trochę bibulasty,
 Stronnica dwieście dziewięćdziesiąt piąta,
 Ustawa krótka, z nią się człek uprząta.
 Numer trzydziesty pierwszy, dobry wcale,
 Więc do czytania bierze się wytrwale,
 Czyta : „Kto zwierząt popełni dręczenie
 I tem publiczne wywoła zgorszenie,
 Podpada karze!“ — jakiej? mniejsza oto;
 Majętym grzywna, do kozy z hołotą,
 Urwiszom cięgi nawet nie zaszkodzą;
 Drapieżne myśli z głowy wyswobodzą.

Przebóg! toć jasne, rozumiem do słowa,
 Aż dusza rośnie, uciec mi gotowa,
 Tak piszcie niemcy ustawy, a wtedy
 Zostać jurystą nie będzie tej biedy.
 Ciasnąż mam głowę? jak aptekarz głosi;
 Jasno tu jasno, aż się duch podnosi.
 Natychmiast puszczyć prawo w wykonanie.

Może się komuś także coś dostanie,
Bo z jego trutek, co muchy truć mają
Biedne zwierzątka konwulsji dostają.
Kurcze i spazmy, a umrzeć nie mogą;
Czmychają trwożne, napawają trwogą,
To jest dręczenie zwierząt mój ty prawy!
Odpowiesz za to wedle tej ustawy.
Nie dam was dręczyć o biedne zwierzęta!
Nowa epoka od dziś rozpoczęta,
Zaczną się rządy podług reichsgesetzów,
Nie będzie więcej aptekarskich heców.
Biegnie więc na dół do radzieckiej sali,
A urzędnicy ze złości go witali.
Zwołuje wszystkich woźnych, policjanów,
Tych, co na biednych czyhają brytanów
I nocnych stróżów, chirurga miejskiego
I panią Madam cechu lekarskiego.
Zeszli się wszyscy, cicho, głucho wszędzie,
Ciekawi wszyscy, co to z tego będzie.

Staął pan burmistrz pośrodku, odkrzyknął
I palnął mówkę — ani się zająknął.
Wszak już jurystą — jakać się nie godzi,
Z prawniczą głową i język się rodzi.
„Dręczenie zwierząt prawem zakazane,
W dzienniku ustaw, ot — tu zapisane.
Nie ścierpię więcej pogwałcenia prawa,
Od dziś panować musi tu ustawa.
Oto wy wszyscy, co jecie chleb miasta,

Musicie służyć ustawy i basta.
Uważać dobrze na zwierząt dręczenie
I wywołane publiczne zgorszenie.
Cierpieniem zwierząt nie wolno się bawić,
Więc winowajców przed kratki przedstawić!
A tu policjan Łukasz przystępuje,
Pana burmistrza grzecznie zapytuje:
„Co to jest zwierzę?” — a burmistrz się jąka,
Ten — to — boi się by nie strzelił bąka,
Więc zań sekretarz: „Idź do paralusza!
Nie wiesz, że zwierzę wszystko co się rusza“.
A chirurg robiąc komplementy śliczne,
Chciał pytać: co to zgorszenie publiczne?
Lecz pani Madam wcześniej przyskoczyła,
Milczec kazała, i na bok trąciła,
Bo przeczuwała, że głupstwo być musi,
Co taki genjusz ze siebie wykrztusi.
W końcu przystąpił nocny stróż Jacenty:
„Co to jest dręczyć?” a burmistrz nie-święty,
Tak się rozzłościł, że gdy się obrócił,
Wszystkich fagasów za wrota wyrzucił!

A tu Makary znów werbla wygrywa,
Nowe edykta narodowi śpiewa,
Drażliwe żydki uszy zatykają,
Szewczyki w górę patynki rzucają.

PIEŚŃ III.

Witaj dniu wielki, witaj dniu wspaniały!
W słonecznym blasku wystąp w pełni całej.
Dniu burmistrzowskiej sławy ty jedyny,
Coś gładził mieszczan długotrwałe winy.
Już stary Egipt przeczuł cię u progu;
Boś wyrzeźbiony na Apisa rogu.
Już Dalaj-lama, bonzy i braminy
Przepowiadali twoje urodziny.

Kto był pan Łukasz? policjan, jak wiecie;
O nim pomówić nie zawadzi przecie,
Bo już urzędem wysoko wzniesiony,
Dwoma domami przez los obdarzony
I posiadaniem małżonki bogaty.
Za świetne czyny, nie dosyć zapłaty?

Lecz dziś się zbudził z dość kwaśnem obliczem,
Bo mu się śniło (byłoby to niczem
Gdyby się w samej rzeczy tylko śniło),
Więc mu się zdało, że go coś czubiło.
Nawet zdawało mu się, że to żona:
A jam jest pewny, że to była ona.

Ubrał się, szarfę z czarnego rzemienia
 Założył na bok z prawego ramienia,
 Przytwierdził pałasz i wąsy pogładził
 I za próg wyszedł, choć nogą zawadził.
 Więc bez śniadania wyszedł. Przeznaczenie!
 Przeto w żołądku poczuł powaśnienie.
 Lecz w inspekcyjnej służbie idzie dalej:
 Rozbroił żaków co się poszturkali —
 Choć nie uśmierzył żołądkowej czczości,
 Co mu szarpała najdroższe wnętrzości.
 W tem ku aptece zbliża się, już wonie
 W nos uderzyły, w ich roskoszach tonie,
 Już rozeznaje zapach piołunówki,
 Najczulszy bukiet najczulszej miętówki;
 Więc tak tem serce jakoś usposobił,
 Że do apteki krok stanowczy zrobił.
 Jak tam wszedł — niewie, urokiem necony
 Rzekłbyś, że wpadł tam na skrzydłach niesiony.
 Spojrzał po fiaskach, za miętówką goni
 I łzę radości na jej widok roni.
 „Hej konsyljarzu, miętówki, miętówki!“
 Spojrzał aptekarz, nie widzi gotówki,
 A że mu ratusz od dawna był wstrętny.
 Więc i policjan był mu obojętny,
 Przeto daremnie nie chcąc poić trutnia,
 „Idź — nie mam czasu!“ — tak zabrzmiała lutnia.

Gwałtu! ha, zgroza, odmowa? odmowa!
 Policjanowi — zuchwałość to nowa,

To niebýwało, czy się komu śniło,
Aby w aptece sznapsika nie było
Dla policjana? Ha, to koniec świata!
To republika, co to głowy zmiata,
To gilotyna! Czasu tobie mało?
A co ty robisz? widzieć by się zdało,
Tak sobie myślał. Zbliżył się do kąta,
Gdzie to przy stole aptekarz się krząta,
Przebóg — co widzi! na talerzu białym
Leżą trzy ciała w majestacie całym.
To żywe ciała, ach! zadowolone
Widzisz. Krwią ludzką przecie, napojone,
Krótkie a grube, cóż im brak? sadzawki?
Ot jednym słowem, były to pijawki.
I byłyby tak w tej roskoszy trwały,
Z błogim napitkiem dalej próżnowały,
Ale, szatańską pokuszony wolą,
Świeżą — aptekarz posypał je solą!
To im dał bobu! — patrz, kurcze dostały;
Biedne, oczęta jak powywracały,
Och, jak się pienią, zgrzytają zębami,
Jak się rzucają, strzygą ogonami,
W końcu, o zgrozo! dostały krwiotoki,
A z ust im kłęby buchają posoki!
Ośłupiał Łukasz, nie widział jak żyje,
Takiej męczarni, patrz, jak oczy kryje,
Ludzkie uczucie wzdryga się przed katem.
Oj aptekarzu zgubionyś przed światem,

Zgrzeszyłeś bratku przeciwko ustawie.
Dręczysz zwierzęta ku niecnej zabawie.
Nie ujdiesz kary, bądź zdrów mości panie,
Co niemasz czasu na krótkie śniadanie.

Wyszedł pan Łukasz, na ratusz się spieszy;
Tożto dopiero burmistrza ucieszy!
Burmistrz z powagą siedzi w majestacie,
A koło niego oprawny w szkarłacie
Reichsgesetz leży na stole u boku,
Z pięćdziesiątego i piątego roku.
Na drugim końcu pisarczyk się wierci,
Jasnokościsty trzy ćwierci do śmierci,
Chciałby co pisać, więc pióra probuje,
Lecz burmistrzowi konceptu brakuje.
Wchodzi pan Łukasz, głowy nie odmyka,
Tylko dwa palce do czapki przytyka
I raport składa z aptekarskich sprawek,
Bezprzykładnego dręczenia pijawek.
Oniemiał burmistrz na takie bezprawie;
Ze zgrozą słucha szczegółów ciekawie,
W końcu odkrząknął, pisarkowi skinął,
Ten chwycił pióro i papier odwinął,
Pisze — a burmistrz powoli dyktuje,
Do słów solennych ręką potakuje.
Tak powstał wyrok w ustawie czerpany:
Dumny aptakarz na grzywnę skazany.
Zapłacisz bratku sto guldenów razem

Za tej ustawy wyraźnym rozkazem.
To ci *jurysta* szle ten podarunek,
Od przyjaciela przyjm ten pocałunek.

Podpisał wyrok, a pisarz ponury
Zaciąga pasztet do brudnej filury;
A Łukasz chwyta, z doręczeniem spieszy.
Niechże dręczone pijawki ucieszy!
Więc do apteki wchodzi pompatycznie,
Już nie — prywatnie, lecz biurokratycznie.
Ani się skłoni, głowy nie odmyka,
Tylko dwa palce do czapki przytyka.
Oddaje wyrok i ustnie ogłasza;
O podpisanie filury uprasza.
Przyjął aptekarz wyrok Salomona,
Podpisał arkusz. Pieczęć rozkrojona,
Więc czyta, czyta, połyka z chciwością,
Jeszcze nie czytał nic z taką lubością.
A gdy przeczytał, porwał się za boki
I łez i śmiechu wypuszczał potoki.
To śmiech olbrzyma, aż słoiki drżały,
Fłaszki dzwoniły, retorty brzęczały.
Śmiał się i kaszlał i wpadał w ekstazy,
Kichał i kichał może ze sto razy.
Gdy się uciszył, zdjął obraz Libika
I za szkło *wyrok* miast obrazu wtyka.
Zawiesił nazad, powtórnie przeczytał
I znów się śmieje, za piersi się chwycił,
Ale tym razem śmiech-to ze spazmami;

Aż kurczów dostał, wywijał rękami.
Przybiegł laborant, odbieg kataplazmy,
Podał morfiny, ustąpiły spazmy.
A co pijawki? Pyszcзки pościęgały,
Pana burmistrza ponoś wyświstały.

Wolno pijawkom wyprawiać w skrytości
Kocią muzykę burmistrzowskiej mości,
To między ludźmi tchórzostwem się mieni.
To tak, jak figę pokazać w kieszeni.
Lecz na ratuszu waż się na świstanie!

Tu dziś dzień sądny, tu zębów zgrzytanie,
Tu dziś pan burmistrz jak Jowisz z grzmotami,
Pioruny zsyła za błyskawicami.
Siedzi uparty od rana do nocy,
Zabójcze strzały wypuszcza jak z procy.

Sprowadził Bartek, nocny stróż, sztubaka,
Co motylowi oberwał pół fraka,
Nózek pięcioro obskubał niecnota.
Więc tego czeka ustawy pieszczota.
Mój ty sztubaku, co dręczysz zwierzęta,
Patrz, jak ci piątka po majtkach wycięta!
Trochę łaskotno mu po smutnej twarzy,
Już on motylom piwa nie nawarzy!

A tu Gierwazy szewczuka sforsował,
Co z żywych chrząszczów młynki fabrykował
I fabrykaty swojego genjuszu



Innym lampartom przytykał do uszu.
Mój ty Michałku, konstytucja dana
Także dla chrząszczów będzie wykonana.
A że do rady nie szlą delegatów,
Ustawa broni ich drogą mandatów,
Więc gdy ustawa twój postępek gani,
Odpowie za to twoja stara pani.

Odpowiedziała! Michałek wstał z ławy,
Po ścianach, oknach powiódł wzrok ciekawy,
Rękę w kieszeni na pięstok układa,
Ustami w złości po niemiecku gada,
Wybiegł z ratusza, przez parkan przeskoczył,
Hula w ogrodzie, bujne drzewo zoczył,
Przypadł i potrząsł, a chrząszcze spadają
I łamią karki, nogami wstrząsają.
Michałek szuka wejrzenia polotem,
Nadbity garczek spostrzega pod płotem,
Chwyta, napęlnia chrząszczami pod szyję,
Rzuca przez okno; za drzewa się kryje,
Zwinął się w kłębek, nawet nie oddycha;
Raptem wyskoczył i czmycha, i czmycha!
Do radnej izby wpadł garczek z chrząszczami
U nóg burmistrza, dziękują ze łzami
Za tę opiekę, rozłazą się wszędzie.
Rada w komplecie pierwszy raz dziś będzie.
Co to? i kto to? daremnie się pyta,
Już winowajca przepadł gdzieś, i kwita.

Tymczasem Marta przed kratki wstąpiła,
 Bo myszy w łapkę słonią wabiła,
 Zwabiwszy w środek gruchotała grzbiety,
 Zwłoki rzucając kotowi na wety.
 Oj zła kobieto, czy ty masz sumienie?
 Posiedzisz w kozie za takie pastwienie.
 A zła kobieta coś mruczy pod nosem:
 „Wszak wabić myszy nie będę bigosem“.
 Za to zuchwalstwo, zaostrzona kara:
 Posiedzisz w kozie trzy godziny — stara;
 I podczas tego o więziennym chłodzie
 Trzy razy w tydzień o chlebie i wodzie!
 A stara Marta parsknęła od śmiechu,
 Biegnie do turmy w największym pospiechu.

Jest jeszcze jedna nieszpeta i młoda:
 Ale cóż z tego, że taka uroda
 Gdy dusza czarna; patrz, stoi jak struta,
 Bo nie dorznęła dziś rano koguta,
 A kogut w górę skoczył, jak się wierci,
 I jak za życia, tak zapał po śmierci.
 Pani rzeźniczko, sercem kamienista,
 Och, twoja zbrodnia dzika, oczywista.
 Skakać koguty po śmierci niewolisz
 I drób niewinny z upiorami spolisz,
 A więc noc całą przespisz się w areszcie.
 Hola siepacze, do ciupy ją bierzcie!

Dwaj policjanci przystępują żwawo,
 Biorą pod boki, bo tak każe prawo,

A z taką gracją, jak gdyby družbowie.
Cywilizacja nie tylko w Rzeszowie!
Przyprowadzili biedaczkę do sieni,
Lecz tu się raptem sytuacja zmieni,
Bo przypadł olbrzym, gniewny, pełen troski,
Mąż to rzeźniczki, rzeźnik z łaski boskiej.
Chwycił jednego za kark policjanta,
Drugiego trącił, jakby grał w wolanta;
Padli siepacze jeden na drugiego,
A rzeźnik wykradł żonę z domu tego.
Pędzą jak kule, lecz nie sami pędzą,
Bo sprawiedliwość dziś stała się jędzą.
Pędzi za nimi, w domu ich doгнаła,
I znów się zmieni sytuacja cała.
Ha! tuś mi łotrze, to sprawa gardłowa,
To gwałt publiczny, pójdiesz do Rzeszowa,
Tam z kryminałem pokumasz się bratku!
A może z Górskim poznasz się w dodatku.

Rzeźnik, choć jednak spuścił nieco z tonu,
Nie bardzo kontent z zdobytego plonu.
Rzeszów nie miłe budzi sentymenta;
Zresztą by wolał wozić tam cieleta,
Niż być wieziony od stacji do stacji.
Więc, myśli lepiej użyć dyplomacji.
Zdejmuje z półki kiszkę jakich mało,
Kiełbasę wonną majerankiem całą,
I na talerzach te doskonałości
Przystawia grzecznie dla tak miłych gości.

Więc sprawiedliwość tych łakoci żadna,
Siada i zmiata; podsądny, podsądna,
To pochlebiają, sami usługują,
Więc kontuszówką obficie częstują;
Ha, w ręce wasze, godni przyjaciele!
I powróciła zgoda i wesele.
To ich nakarmił! to istna wielkanoc!
Pan Bóg wam zapłać, dobranoc, dobranoc!

P I E Ś Ń IV.

Po dobrej nocy, dzień dobry się rodzi.
Po ciemnej gwieździe jasne słońce wschodzi.
Powstało słońce, więc pan kapral wstaje,
Idzie — ziewając, pod miastowe gaje,
A choć zakąskę z napitkiem miał w trzosie,
Wódz policjanów dziś w niedobrym sosie.
Zazdrościł ponoś tryumfów swej rzeszy,
Więc powetować, co utracił, spieszy.
Siadł na pagórku, a z dołu drożyna
Kręto i stromo pod górę się wspina.

Dzień był targowy, a ludu nie mało
Konno i pieszo do miasta zdążyło.
Ale nie dla nich pan hetman tu czeka,
Przedmiot swych badań widzi już z daleka,
Już tam na drodze widzi punkt czarniawy;
Tam to badawczo utkwiał wzrok ciekawy,
A punkt się zwiększa, przybliża, przedłuża,
Z tumanów kurzu wnet się wóz wynurza.
Przed wozem widać zwierze czworonożne,
Chude, kulawe, obficie batożne,
Jestto chebeta z sterczącymi kości,
Ciągnie powózkę z dwanaściorgiem gości,
Chaskel woznica, to już nadliczbowy,

Zajmował przodek wcale nie zbytkowy.
Siedział, niepyszny na ruchomym drągu,
Błotniste nogi sparłszy na wasągu.
A za nim ławka; i z tyłu i z przodu
Izraelskiego mieściła narodu.
Tu i tam para, więc wszystkiego czworo:
Był to Srul krawiec z połowicą Dworą,
Naftali faktor z bliskiego Przeworska
I szynkarz Mendel z baryłką ze Zgorska;
A w środku wozu druga ławka była,
Tam tłuste ciało Fejga rozłożyła,
Obok niej Berko ledwo się co zmieścił,
A z przodu Jankiel co swą brodę pieścił.
Tuż koło niego Leib; myślący o tem
Czy sprzeda pudło ze Rzeszowskiem złotem.
W tyle ostatnia najwspanialsza ława;
Tam siedzi Moritz, co to liznął prawa,
Pierwszym w Grodzisku słynie mistrzem pióra;
A obok Laura — ulubiona córa.
Z przeciwnej strony dwaj dumni wekslarze,
Potocznie mówiąc deruny-lichwiarze.

Tyle honorów dziś na szkapę spływa.
Lecz biedna takich zaszczytów nie chciwa,
Bo gdy dowlekleń czeredę pod górę,
Raptem stanęła, nogą grzebie dziurę,
Robi bokami, już nogi rozkracza,
Wyteżę siły, lecz w bok się zatacza.
Aż tu piechotni krzyk podnieśli mnogi:

Hej złaźcie szelmy! bo wezmiem za nogi
I pościągamy was; a gdzie sumienie,
Takie szkapinie robić udręczenie?
Idźcie piechotą pod górę, bo głodna,
Zbiedzona szkapa dociągnąć nie godna.
„Co? iść piechotą? ty głupi ladaco!
A tobie wściubiać się do tego — na co?
Ja zapłaciłem baares geld za furę!
Miałbym piechotą drapać się pod górę?
„Bij Chaskel konia, on tylko leniwy“.
A Chaskel sławy i zarobku chciwy,
Wali batogiem, szkapa się nie ruszy,
Kasze i dyszy, stoi jak bez duszy.
Chłopi ze zgrozą widzą tę męczarnię,
Nie radzi puścić tej zbrodni bezkarnie,
Każą wyłazić bezdusznej czeredzie.
Już jeden chwyta tego co na przedzie,
W tem Moritz krzyknął: „Gewalt, to rabunek!
„Patrzcie, to rozbój, wnet zrobię meldunek
Do kryminału, a wam co do tego!
Ja zapłaciłem mein Blit, krwi mojego,
To ja na wózku siedzieć mam tu prawo.
Chaskel wal konia, niech ciągnie, a żwawo“.
Chaskel obrócił batog — więc biczyskiem
Okłada konia, ten nosem i pyskiem
Pianę roztacza, więc po łbie w dodatku
Dostał serdecznie, przeto do upadku
Na bok się chyli, w końcu o ziem runął.

Skoczył Naftali i ze złości splunął.
Wyrwał drag z płota, już bić szkapę spieszył,
Wtem przypadł kapral i szkapę pocieszył.
Powstrzymał razy, koń wzrokiem dziękuje,
Całą czeredę kapral aresztuje.
Lecz ci się bronią, krzyczą przeraźliwie,
Nawet się wymknąć starają zdradliwie,
A kapral skinął, przybiegli włościanie
Do asystencji, więc bójka, szturkanie.
Ściągają bratków za pejsy, za brody,
Nawet się kuszą do Fejgi urody,
I centnarowe powaby jejmości
Zrzucili na ziem z wozu wysokości.
Wóz wypróżniony! więźniów straż okrąża,
Zwolna pod górę do miasteczka zdąża.
Naprzód szkapina z prochu podniesiona
Kuleje, dyszy, ścięta i skrwawiona,
A Icki, Berki z Fejgami, Laurami,
Na piechotę wędrują parami,
Straż na około, a kapral ostatni
Bacne ma oko na ten uścisk bratni.
Weszła procesja w miastową średnicę,
Rzucono żydom w oczy rękawicę.
Więc rwetes, tartas nie do opisanania;
Ścisk wszego ludu, groźby, urągania.
Żydzi uwolnić braci usiłują,
Lecz policjanci zewsząd się zlatują,
Guzy i sińce, ach egipska plaga!

Więc utrzymana urzędu powaga.
Teraz lamenty, ajwaje, szwarcjury!
Ale daremne wstrząsania jarmury;
Już niepomocze zgrzytanie zębami.
Patrzcie, więźniowie siedzą za kratami.

Przeto ucichły hałasy, ekscesy,
Przeegrali pierwszą bitwę meszuresy;
A więc starszyzna podejmuje wątek,
Przysięga zemstę na miły początek.
Szkolnik jak warjat biega ulicami,
Potrzasa brodą, rudemi pejsami,
Rzuca się, skacze, przeraźliwie krzyczy,
Rzekłbyś Jeryho stoi do zdobyczy.
Rozesłał szkolnik słuźalce kahalne,
Zwoływać naród na obrady walne,
Biegną sługusy, dzwonią pantofłami
I dziurawemi świecą pończochami;
Biegną w błotniste zaułki i brudne,
Cuchnące czosnkiem, do przebycia trudne,
A w rękach młoty drewniane trzymają,
Jak maczugami groźno potrzęsają.
I tłuką we drzwi gdzie mieszkają żydzi.
Tego się grzmotu Cyklop nie powstydzi!
„Chodźcie, słuchajcie: gojmy, lud nieczysty
Wiążą nam braci, niech miecz płomienisty
Spadnie im na łby! więc z męztwem, zapalem,
Pod wielką klątwą łączcie się z kahałem“.

Więc się żydkowie skrobia i czuchraja,
 Twulen i cyces na piersi wkładają,
 I nadziewają czapki sobolowe:
 Sury-bachury bywajcie mi zdrowe.

A pan naczelnik kahałnego zboru
 Jakiego szatę dziś ubrał koloru?
 Ponoś żadnego, bo to dyplomata,
 A propinacja, ponętna do kata!
 Więc gdy się z miastem o dzierzawę sprawia,
 Zrobił wycieczkę dziś do Jarosławia.

A więc pan burmistrz dziś zwyciężcą stoi;
 Co będzie jutro? — ach jutra się boi,
 Bo go donosy z wszystkich stron dochodzą
 Że się żydkowie do wojny łagodzą.
 I odbić więźniów zdradzają pokusy
 Ruszywszy czerni najczarniejsze fusy.
 Kim tu obronić powagę urzędu,
 Namiętną tłuszcze wyprowadzić z błędu?
 Bo z dwónastoma, choćby policjany,
 Czy zwalczy motłoch sfanatyzowany?
 I nocnych stróżów kulawych sześcioro
 Nie dopomogą do zwycięstwa sporo.
 A chirurg miejski? tchórz to w ludzkim ciele,
 I akuszerka nie pomoże wiele!

Więc do pomocy wezwać trzeba cechy
 By rokoszanom oszczędzić uciechy.

Rozsyła posły do wszystkich warsztatów,
Tkackich, bednarskich, szewskich potentatów,
Na pospolite wzywając ruszenie,
Aby przytłumić prawa pogwałcenie.
Patrz, odpowiedzi nadchodzą bez zwłoki :
Bednarze ukłon przysłali głęboki,
Ale burmistrza pięknie przepraszają,
Że do tej burdy posiłków nie dają.
Bo właśnie z Mendlem kontrakt się spisuje
Na dwieście kadzi! któż więc ryzykuje?
Kowale także przepraszają grzecznie,
Że się nie stawiają — bo to niebezpiecznie.
Wszak już z Kalmanem o wozy się godzą,
Inaczej czeladź i siebie zagłodzą.
Cechmistrz rzeźników zapewnia amory,
Lecz gdyby przyszedł, straciłby fawory
Pana Fejbisza, który mu pożycza
Sumki na weksle, choć procenta wlicza.
I tym sposobem wszyscy odpowiedzą;
Wszyscy w kieszeniach mojąszowych siedzą.
Tylko szewczyki szaleją z radości,
Ci nie opuszczą burmistrzowskiej mości.

Ale pan burmistrz nie dzieli uciechy,
Nie chcąc godności narazić na śmiechy.
Już nowych myśli umysł nie wytwarza,
Przeto poprosić kazał sekretarza.

PIEŚŃ V.

Dzielnica żydów najsmaczniejsza w świecie;
Błoto, choć lato, zapachu, co chcecie,
Stoi tam stara bożnica, a zboku
Kahalne domy dotrzymują kroku.
Soborna izba, obszerna i brudna,
Ale dziś wonna, dziś obficie ludna.
Sto i dwudziestu zeszło się działaczy;
Tak się Sanhedrin zbiera, nie inaczej.
Izbę zajmują ławki we dwa rzędy,
W kaftanach tędy, we fraczkach tamtędy,
A naprzeciwko stołek ze stolikiem
Siedzi tam szkolnik z potężnym patykiem.
Patyk — to dzwonek żydowskiego zboru
Do zażegnania gorącego sporu.
Naprzeciw stołu framuga z półkami,
A na nich księgi z złotemi brzegami,
Gdzieniedzie mace od świąt pozostałe,
Czosnkową ambrawą nasycone całe.

Już starowiercy zatrzęśli ławkami,
Nic nie gadają, ruszają brodami,
Bo przecie wiecie, że napływ mądrości
Zapiera mowę w serca głębokości.

Tu się jarmułek dziewięćdziesiąt liczy
 Tu są imiona miodowej słodyczy :
 Mechlów i Lejbów po trzech tu zasiada,
 Tu czterech Chasklów w dumanie zapada,
 Biumów pięciu, sześciu Icków, Srulów,
 Mendlów dziesięciu a siedmiu Naftulów,
 Abraham jeden, czterech Elijasów,
 Pięciu Pereców i pięciu Pinkasów.
 Aronów czterech, Rubinów dwie pary,
 Czterech Natanów, jeden Jankiel stary,
 Trzech tu ujrzałeś Szlojmów, czterech Szlomów,
 Pobożnych mężów, talmudowych molów.
 Janklów trzech tyłko, Herszków sześciu było,
 A na dwóch Szapsów, to aż spojrzeć miło!
 Byli to krawcy, furmani, szynkarze,
 Kahalni słudzy, belfery, stragarze,
 Handlarze bydłem, koszerni rzeźnicy,
 Faktorzy dworscy, szklarze, przemysłnicy,
 Lud to pejsaty, gorący, wierzący,
 A nienawiścią do gojmów ziejący. —

Tam na lewicy sami postępowi,
 A ich nazwiska ledwo kto wypowie,
 Już ślinką usta nabiegną mu chciwe,
 Takie to dźwięczne, takie to pieściwe!
 Słuchaj! Goldsteiny, Goldadry, Goldmuthy,
 Z bakenbardami Goldbaumy, Goldwuthy,
 Także Goldhaary siedzą z ówkiemami,
 Goldungi strzyżą piwnemi oczami,

I Goldblutt jeden, lecz potężnie tłusty,
 Nawet wymowny Goldmund złotousty.
 Goldust i Goldblatt to z jednego pienia,
 Goldhandy siedzą ramię do ramienia.
 A Goldlust wszystkich przewyższa chciwością,
 Grożąc rywalom pięściami ze złością,
 Goldhaupt spokojny i Goldbart łagodny;
 Za to pan Goldgier zawsze zysku głodny.
 To cymes miasta, same matedory,
 Wszak między nimi nawet dwa doktory.
 Tu spedytyery, kupcy, hurtownicy,
 Mistrze giełdowi, bankowi spółnicy.
 W tużurkach, frakach, cylindrach, sztyfletach,
 Pookręcani w nowomodnych pletach,
 A ćwikierami na czerń spoglądają,
 Z szyderstwem w ustach głowami kiwają.

Trzydziestu było owych złotoidów,
 Nie wiedzieć Niemców? Hebreów? czy żydów?
 W tem szkolnik o stół uderzył patykiem
 I ryknął *Biada* tak potężnym rykiem,
 Że niedziw teraz, że gdy naród cały
 Ryknął, Jeryha mury pospadały.
 I opowiedział nie tylko ustami,
 Ale oczami, rękami, nogami,
 Bijąc pięściami, zębami zgrzytając,
 Włosy na głowie i pejsy targając.
 Więc opowiedział goimów zdrożności
 I wyrządzone niesprawiedliwości,

I o ratunek wzywał i o radę,
 Na krwawą braci zapraszał biesiadę.
 „Kto tu ma radzić?“ rzekł Icyk z *pod Sowy*,
 Ciemni nie znamy drogi do Jehowy,
 Gdzie są prorocy, gdzie nasi Eljasze
 Gdzie Jeremije, gdzie nasi Jonaszę?
 Szukajmy rady mądrych świętych ludzi,
 Kto ich tu szuka, daremnie się trudzi.
 Znam ja jednego, bardzo uczonego,
 Nad biblją całe życie siedzącego,
 A taki święty! i tak nic nie gada!
 Aj tu najlepsza zaczerpnie się rada.
 Znam ja go dobrze — to rabin z Kosowa,
 Siwą ma brodę, siwa także głowa“.
 — Temu odpowiedź dał Lejbuś woźnica:
 „Co mi tam Kosów, u mnie to Wyżnica,
 Tam święty rabin, na cały świat słynie,
 Gdy słowo rzeknie, to jak balsam płynie!
 Więc do Wyżnicy niech idą posłowie,
 Przywieżą radę zbawienną i zdrowie“ —
 — „Oj ciemni żydzi“ westchnął pan Naftuli,
 „To wy nie wiecie, że na całej kuli,
 Na całym świecie i w całej naturze
Jeden jest rabin — a ten — w Sadagórze!
 To mi mąż święty, powie — już się stanie,
 Trzy tylko setki wylicz na dywanie.
 Więc tam poszlijmy posły z podarunkiem,
 Pewnie ich przyjmie z największym szacunkiem,

A co przepowie, ziści się nim wróćą
 I naszą żalność, naszą boleść skróćą“.
 — Odfuknął Chaskel: „a wy niedołągi!
 Oj wam to, wam to należą się cięgi!
 Czy wy nie wiecie, że nim wróci który
 Naszych tymczasem w turmie zjedzą szczury?
 Nie czas to bracia w poselstwa się bawić,
 Lecz z bronią w rękę z gojmami się sprawić.
 A więc do broni wołam, bo inaczej
 Nikt naszych braci więcej nie obaczy!“
 — „Zgroza! co słyszę“ — pan Goldfus zawoła,
 A pot z przestachu opada mu z czoła,
 „Czyś ty oszalał, nieszczęśliwy człeku?
 Wojna żydowska!! w dziewiętnastym wieku —
 A gdzie wasz Ureń — co to był hetmanem,
 A gdzie ten rabin, co to był furmanem,
 Czyś ty nie słyszał, co tam napisano
 Czytał ja dobrze, ot dziś jeszcze rano:

„Oj hetman Ureń
 Jaki z niego dureń!“

Teraz i Goldstein odezwać się raczył,
 Skoro już Giełdę mówiącą zobaczył:
 „Dokąd to ciągnie was śmieszna pokusa,
 Czy wy myślicie, że to wiek Tytusa,
 Gdy w Jeruzalem bożnica nas broni,
 A milion mieczów było w naszej dłoni?
 Już to minęło, inną dziś broń mamy,
 Dziś to weksłami ludność wymiatamy,

Dziś zataczamy akcje nie — lawety
I złote renty i priority,
Dziś szterlingami strącamy z fotelów,
Sadzamy na nie naszych wielbicielów.
Dziś w naszym ręku opinja publiczna
I nowa prasa, to broń nasza śliczna,
Trybuna? nasza! ministerstw tajniki
I kongresowe frymarki, praktyki,
Pieniądz dziś bronią, a pieniądz krew nasza,
Więc żelaznego zaniechaj pałasza!
Czy wiesz gdzie stoją nasze mitraljesy?
Tam gdzie Rotszyldy, Kremiery, Miresy“ —
— A Goldlust z piersi jęk wydobył głośny,
Bo na tych bożków był nieco zazdrośny,
Więc wyrzekł: „Co tam, mamy bliższych braci,
Dziś nam pomogą więcej adwokaci,
Telegrafujmy więc do Hönigsmana,
Ten wolność braciom wyjedna do rana“ —
— „Ja zawsze wolę towar z pierwszej ręki“,
Odrzekł Goldhaufen — człowieczek maleńki,
„Telegrafować do Szmerlinga radzę,
Uwolni naszych, zyszczem na powadze,
Boć przecie honor, z ministrem się znosić
Większy, niż głodnych adwokatów prosić.
Taka to rada nowych obyczajów,
Od liberałów i verfassungstrajów,
A wy siedzący tam po prawej stronie,
O piętukowej marzący obronie,

I wyście głupcy z waszymi rabiny,
Co się przy księgach wędzą jak koziny,
Udają mądrych, chwieją się i chwieją,
Ale dziesięciu zliczyć nie umieją;
A gdy powiedzą jakie głupstwo, za to
Z dobrą musicie wyjechać zapłatą,
A więc słuchajcie, tu pomiędzy nami
Możemy mówić, że są — oszustami!“ —
Zaledwie wyrzekł te złowrogie słowa
Już mu z cylindra obnażona głowa,
Już mu i ćwikier do nosa przybity,
Policzek również potężny wyryty.
Cała prawica wybuchnęła wrzaskiem,
Na postępowców spadła z trzaskiem, praskiem;
Więc się zaczęło cylindrów łamanie,
Czułe głaskanie, za włosy targanie,
Już Goldangowi podbili dwa oczy,
Noga Goldfussa już dziś nie podskoczy,
Ręka Goldhanda u łokcia zwichnięta,
Golbarda broda po środku przecięta.
Już z bakenbardów pozostały pustki,
Leżą zdeptane rękawiczki, chustki,
Goldhaupt i Goldast stracili peruki,
Burnus Goldblatta podarty w trzy sztuki,
A Goldmundowi wpadło coś do gęby,
Od razu stracił trzy wprawione zęby.
Nie dosyć na tem, a kuksy a boksy,
Już to szaleją dzisiaj ortodoksy!

Więc za kołnierze biorą postępowych,
 Ciągną za poły, prą do drzwi wchodowych,
 Przy drzwiach żegnają bratków kolanami :
 Bywajcie zdrowi! już wszyscy za drzwiami.
 A więc Sanhedryn spuryfikowany,
 Zostały same jarmurkowe stany.

Talmud zwyciężył, szkolnik tryumfuje,
 Dzikimi giesty w górę podryguje,
 Wnet też podjęto przerwane obrady,
 Pięknie się toczą wśród bratniej biesiady.
 Już nikt nie żądał dla posłańców fury,
 Ni do Wyżnicy ni do Sadogóry,
 Już o Kosowie nikt nie robi wzmianki,
 Znikły od razu poselskie zachcianki.
 Tylko myśl walki wszystkich napoiła,
 Więc: „Odbić braci“ czeru postanowiła.
 Najmniej sto razy „aj waj!“ zajęczało,
 W ścianach, w suficie „aj waj!“ zaskrzypiało,
 Szumi i syczy jak w kipiącym garku,
 Wałą się z izby na złamanie karku.
 A ci co swoje bachory kochali,
 Lubieżnem okiem po półkach patrzali,
 Więc by daremne nie były ich prace,
 Porozbierali dla bachorków mace.

A posługacze kahalni z młotami,
 Rzekłbyś ścigani, biegną ulicami,
 Wałą młotami we drzwi gdzie są żydzi,

Grzmotu się tego cyklop nie powstydzi.
 Tłuką, wołają, wzywając do boju,
 Grożąc tym klątwą, co zasną w spokoju.

W radzieckiej izbie koło ciemnej ściany
 Siedzi pan burmistrz jak skomponowany,
 Obok — sekretarz, rzekłbyś, obojętny,
 Lecz na coś przecie dość żywo pamiętny.
 „Więc sekretarzu, ratuj mnie w tej biedzie,
 Bo tu o honor miasta i mój idzie,
 Żydzi napadną na ratusz, wiesz o tem,
 Gdy krew popłynie? a co będzie potem?
 Gdybyś rzecz skończył bez wiele rozgłosu,
 Bez szczęku broni, do władzy donosu,
 Byłbyś najpierwszym w świecie sekretarzem
 A z czasem mógłbyś zostać konsyljarzem“.
 — „Panie burmistrzu. nie takim ja frantem,
 Wiesz przecież dobrze, żem nie auskultantem,
 Ja biedny pisarz! dawniej to starczyło,
 Że się tu na mnie spoglądano miło,
 A gdym do córki zwrócił słowo tkliwe,
 Ujrzałem ojca spojrzenie życzliwe.
 Dziś się zmieniło, pan burmistrz się zżyma,
 Bo go auskultant na uwiezi trzyma.
 Niech więc pan burmistrz poszle do Rzeszowa;
 Auskultant przecie conceptowa głowa,
 Niech nas ratuje!“ — „Co bredzisz człowiecze
 Co się odwlecze — przecie nie uciecze,

A kiedy mówisz otwarcie, to słuchaj,
Mówię stanowczo — więc się udobruchaj.
Gdy rzecz bez boju załatwisz, w podziękę,
Anielci rękę złożę w twoją rękę!“ —
— „A więc przyjmuję, dziękuję ci panie,
Jak sobie życzysz, z pewnością się stanie“.

Panna Aniela pod drzwiami słuchała,
Będąc dowcipna wszystko rozumiała,
Pierzchła jak sarna, twarz zarumieniła,
Pysio na matki podołku ukryła.

A przed ratuszem szewczuki się roją,
Żydkom przez okna różne figle stroją,
To własne nosy palcami sztukują,
Skrobiają marchewki, figi pokazują.

Więcej litości okazują szczury;
Cicho, na palcach skradają się z dziury,
Gdy który z więźniów legnie snem podcięty,
To mu się szczurek dobiera do pięty!

PIEŚŃ VI.

Już noc zapadła — miasteczko się tuli
W ciemną osłonę, i do snu się kuli,
Ucichł gwar, chrząszcze tylko pobrzękują,
Z drzew na przechazkę nocną podlatują.
I żab brunatnych ochryple gromady
Robią sąsiadom miłe serenady;
A choć wstęp gratis — daremne bilety,
Choć dozwolone zwykłe toalety
I ławki puste, brawa nikt nie daje,
O tak, że *swojskie* nikt słuchać nie staje.

Nawet sekretarz nie słucha muzyki;
Jemu dziś w głowie pustaki, szewczyki,
Więc po ulicach te ptaszki poluje,
Coś im szwargocze, coś im pokazuje.
Czegoś ich uczy, a ci powtarzają,
Przy tem ze wszystkich stron się oglądają,
Nie radzi zdybać żydowskiego ducha,
Więc szepczą tylko półgębkiem do ucha.
I znów się patrzą, nieznacznie, ukosem,
Czy gdzie nie stoi pan żydek pod nosem.
A po północy do domów wrócili,
Gdzieście to byli? — Nigdzieśmy nie byli!
Wrócił sekretarz, do domu; spać miło,
Co mu się śniło? Ach, co mu się śniło!

Lecz na żydowskiej dzielnicy się warzy;
Wszystko się składnie do walki kojarzy,
Szkolnik hetmanem okrzyknięty zgodnie,
A więc ukazy wydaje swobodnie.
Składa oddziały, mianuje mu wodze,
Na opieszających odgraża się srodze.
Broń wyszukuje, żywność rekwiruje
I do pochodu rycerstwo szykuje,
A gdy ukończył, jękły tarabany,
A gdy ucichły, rzekł hetman znękany :
„Izraeliccy słuchajcie mężowie,
Icki i Srule i jak się kto zowie,
Słuchajcie krawcy, belfery, kramarze,
Kahalne sługi, rzeźnicy, szynkarze.
Sza! — Sza! słuchajcie lichwiarze, faktory,
Wy co majufes śpiewacie — kantory :
Dziś nie czas wody wlewać do gorzałki,
Ale najtęższej trza pochwycić pałki
I bić i łamać w szalonej warjacji,
Nie czas wam — mówię dziś do szpekulacji.
Nie czas dziś łokci skróconych dobierać,
Lecz najdłuższemi drągami nacierać,
I walić w bramę, w żelazne drzwi godzić,
By z furdygarni braci wyswobodzić.
Nie czas fałszywe kłaść funty do czary,
Lecz co największe dobierać ciężary
I na łby miotać tym przeklętym wrogom,
Tym Filistynom, mniemanym pół-bogom.

A więc ruszajcie dzieci Izraela,
Albo śmierć nasza, lub nieprzyjaciela“.
Skończył, kantory majufes śpiewają,
Więc do pochodu hufce się ruszają.

Dosiadł pan hetman ślepej kobyliny,
Co dziś dwudzieste sprawa imieniny,
A że jest ślepa — dziś niech będzie rada,
Nie ujrzy bowiem jaka to szkarada
Na grzbiet jej siadła. — Oj gdyby wiedziała,
Toby wierzgała, i dęba stawała,
Ażby strąciła ohydę do biedy.
O tak! na starość schodzi się na żydy!
Miał adjutantów hetman dwóch z hajdery,
Byli to w dwoje skurczeni belfery,
Wsadzeni na dwóch kulawych kucyków,
A mieli czapki z prawdziwych królików.

Patrz! pierwszy oddział za sztabem się toczy;
To z drewnianemi młoty lud ochoczy,
Zwany *młotarze*, chodzą tylko bokiem,
Bo niedowidzą wszyscy prawem okiem.
Wszyscy się zwali Lejbusie i Berki
I popielate nosili pluderki.
Było sto męża w tym pierwszym oddziale,
Moszko-arendarz stoi na ich czele.

A drugi oddział za nimi pospiesza,
Złamane dyszle na ramionach zwiesza,

Są to tarany do łamania murów,
 Przeto *dyszlaki*, nazwano tych gburów.
 Do tych rycerzy należą furmany,
 Wszystkie drągarzów i tragarzów stany.
 Sto głów, sto było także kapeluszy,
 Co opadały kresami na uszy.
 Jankiel woznica dowodzi tej rzeszy,
 Uwolnić braci niecierpliwy, spieszy,
 Bo synagogi wielkim jest czcicielem,
 A pojmanego Chaskla przyjacielem.

A trzeci oddział zwie się *obcężników*,
 Dwieście chodaków pod nazwą trzewików,
 Liczy ten oddział, a ci co w nich leżą,
 Obcegi w rękach pryszczowatych dzierzgą.
 Tu jest najwięcej Szmulów i Dawidków,
 I tandeciarzów, kramikowych żydków.
 Nie są kulawi, po dwa oczy mają,
 Lecz niebożęta bardzo się czuchrają.
 Srukko, tandeciarz tym hufcem dowodzi,
 Choć w jednym bucie i trzewiku chodzi.

Był tu i czwarty oddział — to *rydlacy*,
 Bo niosą rydle jak grabarze jacy,
 By przez podkopy do więzień się dostać,
 Gdyby niemożna w ręcznym boju sprostać.
 Tu narachujesz pięćdziesiąt jarmółek,
 A czapki mają z czerwonych wiewiórek.
 Naftuli głuchy, grabarz z okopiska,
 Jest ich dowódczą; czy dla pośmiewiska?

A zamiast ciurów, pełno meszuresów
Ciągnie za wojskiem, skłonnych do ekscesów.

Szczeńśliwej drogi! a gdy się wsławicie,
Pokrzepić siły będzie przyzwoicie;
Oto posyłam — patrzcie, te podwoły,
Tam prowjanty dla waszej wygody:
Kocioł z łokszynem pewnie was ucieszy,
Bo bez pomocy sam do gardła spieszy,
A kosz olbrzymi napchany kugłami
Napawa ślipie roskosznemi łzami.
Na drugim wozie ryba, marynata,
O dwa potężne garczki się ogniata.
A taka miła, tak cebulą cuchnie,
Że człek z roskoszy jak gołabek gruchnie!
Rzodkwi dwa kosze, a czosnku trzy wiana,
Cebula pulchna, rzekłbyś że nadziana.
Niebrak nektarów. Na wozach leżały
Kwaśnej jabłkowej lurki trzy antały.
Nic nie brakuje. Tylko markietanki,
Od tej cuchnącej pierzchały śmietanki.
Niech siedzą w domu! bez nich się obędzie,
Gdzie są zwycięzcy, tam i uczta wszędzie,
Więc głupi Moszko śmiał zaproponować,
By praw zwycięstwa, zaantycypować.
Podniósł na niego pan hetman buławę,
Jedną pogroźką zażegnał tę sprawę.

Wojsko żydowskie! widok to poważny,
 Każdy z rycerzów, aż strach tak odważny,
 Choć trochę w prawo, w lewo się ogląda,
 Czy gdzie policjan widzieć go nie żąda.

„Berku! czy może myślisz że się boję?
 Oho — ja mężny, lecz się niepokoję
 Coby robiła Sura, gdybym zginął“. —
 Otarł łzę z oka, i pejsy podwinął,
 Wiesz ty co, Berku? powiedz mojej Surze,
 Gdy mnie zabiją, że w biblji przy murze
 Te dwa dukaty schowane, te nowe,
 Co to dostała za sprzedaną krowę,
 A jam jej ukradł, a ona płakała,
 I cały tydzień daremnie szukała.
 Lecz skoro wrócę z wojny bez usterku,
 To jej nic nie mów, kochany mój Berku!“

A w obceźników oddziale, miarkuje
 Kramarz Dawidko, że tam coś wojuje,
 W Srula żołądku: „Co tobie mój Srulu?
 Czy ty nie czujesz kiszkowego bólu,
 Może się boisz?“ — „Oho! ja zuch przecie,
 Niczego ja się nie boję na świecie.
 A to że tam coś po wnętrzościach chodzi,
 To się z nadmiaru waleczności rodzi,
 A że się trzęsę, pewnie nie z bojaźni,
 Tylko dla tego, że dziś nie byłem w łaźni“. —
 Zamilkł, lecz wkrótce mruknął coś pod nosem,
 Rzekł do Dawidka przytłumionym głosem:

Oj bruder — leben, jeżeli zadrę nogi,
Zanieś ten bajgiel mój Dawidku drogi,
Memu synkowi, znasz go? Lejbusiowi.
Niech — żem go ukradł — nikomu nie powie“.

I tak to wszędzie męztwo i odwaga,
Żądza zwycięstwa w umysłach przemaga,
Już, już do rynku wnet wkroczą szeregi,
Już fale biją w oceanu brzegi,
Wnet sława gruchnie po zdroje Jordanu,
Puszcze Arabji, po cedry Libanu!

PIEŚŃ VII.

Co to za cisza! to cisza przed burzą;
Wnet tu się boje śmiertelne wynurzą.

Na rynku, gdzie tak bywało rubaszno,
Dziś żywej duszy nie widać, aż straszno,
A cicho takie, jak na mszy w kościele.
Gdzież policjanci — nasi przyjaciele?
Brama zamknięta sławnego ratusza,
Oknami żadna nie wyziera dusza.
O! taka cisza, to cisza przed burzą,
Wnet tu się boje śmiertelne wynurzą.

Słuchaj — Coś huczy, to zdala, już z bliska,
Już się do rynku woń czosnkowa wciska,
A za nią armja z niezmiernym hałasem,
Z majufesowym dyszkantem i basem.
Już cały rynek przez żydów zajęty,
Wnet, wnet się zacznie bój straszny, zacięty.
Więc na początek okrzyk z piorunami,
Jaki wstrząsł niegdyś Jeryha murami,

Ale ratusza mocniejsze są mury;
Zostały całe, tylko modre szczury,
Pouciekały w najgłębsze tajuiki,
Będąc drażliwe na takie okrzyki.

Widząc pan hetman, że tak sumarycznie
Nie weźmie twierdzy, że trzeba taktycznie
Rzecz rozpocząć — więc żąda poddania,
Nim do krwawego przystąpi działania.
Wypuścić Chaskła i dwunastu braci;
Kto opór stawia, ten życiem przypłaci.
Lecz co pomoże na puszczy wołanie
Gdy z drugiej strony nikt słuchać nie stanie?
Więc hetman krzyknął na oddział dyszlaków,
By w pogotowiu byli do ataków.
A wojsko widząc, że się ważą losy,
Więc po staremu wrzeszczy w niebogłosy.

W tem drzwi otwarto raptem na balkonie;
Wszedł sekretarz, a tam na peronie,
Z olbrzymim bębniem zjawił się Makary.
Widząc to wojsko — znów krzyczy bez miary,
Wolności żąda dla trzynastu braci;
Kto się opiera, ten życiem przypłaci.
A więc Makary pochwyciwszy pałki
Uderzył werbla. Mówiąc bez przechwałki,
Był to prawdziwy werbel nad werblami,
Aż zatrzęsł drzwiami, zabrzączał oknami,
Aż się żydkowie chwytają za uszy.

I wnet ucichło, nikt gębą nie ruszy.
 A pan sekretarz stojąc na balkonie,
 Wierzcie — wyglądał, jak ksiądz na ambonie —
 Gdy się rozglądnał, zwąchał pismo nosem,
 Zaraz donośnym odezwał się głosem :
 „Ty co tam stoisz — ludu Izraela
 Mów — czego żądasz?” — A tam z gardeł wiela
 Krzyknięto „*Wiary!*” — Aj waj — co to znaczy
 Kto to wykrzyknął, pytają w rozpacz,
 Gwałtu co to jest, czy to my poganie?
 My mamy *wiarę*, ta nam pozostanie;
 Innej nie chcemy. — Gwałtu, kto to gadał?
 I lęk tak wielki żydami owładał,
 Że krzyczą, wrzeszczą i włosy targają,
 Chce mówić hetman, lecz go nie słuchają.

A więc Makary znów werbla uderzył
 I bił tak długo, aż ten zgiełk uśmierzył.
 A był to również werbel nad werblami,
 Co zatrzęsł drzwiami, zabrzączał oknami.
 Gdy wrócił spokój, sekretarz z balkonu
 Znów do starego przemówił zakonu :
 „Ludu wybrany, co zbawienia czekasz,
 Gdy żądasz wiary — mów, czy się *wyrzekasz*
 Wroga szatana, i wszystkich spraw jego?”
 — „Tak jest — *Wyrzekam!*” — Przebóg, kto r
 [ga

Panie hetmanie, ratuj nas, tu zdrada!
 My z szatanami nie mamy roboty,

Co to *wyrzekać*, ktoś tu robi psoty;
 Co to jest? Gwałtu: hetmanie, ty z nami?
 Każ nam uderzyć o bramę dyszlami.
 I krzyczą, plują, klną gojmów bez miary,
 Więc znów do werbla powraca Makary,
 Widać że bęben dano mu w powiciu;
 Dziś jego werble najpiękniejsze w życiu!

I znów uciszył rozhukaną zgraję,
 Przeto sekretarz znów do boju staje.
 „Gdy się wyrzekłeś ludu Izraela
 Sideł szatana, słuchaj przyjaciela,
 I na ostatnie odpowiedz pytanie:
Chcesz być ochrzczony?“ — „Chcę!“ słychać
 [błaganie.

A w tem się bramy rozwarły podwoje,
 Z sikawki, wody wylały się zdroje
 Na lud wybrany, na pejsy, na brody,
 W ciężkim frasunku dla serca ochłody.
 A gdy ten strumień wznosi się rześisty,
 Z balkonu dźwięczy znów głos uroczysty,
 A lud wybrany truchleje gdy słucha:
 „Więc was chrzczę w imię ojca, syna, ducha!“

Popłoch okropny! — Batalja przegrana!
 Tłuszcza umyka jak od psów ścigana,
 Żydzi się pienią, dziś stają się zmiją,
 A uciekając piętami się biją.
 Toż kolosalna była rejterada!

Jęcząc wołali: zdrada! zdrada! zdrada!
Strach niebywały — gubią wszystką zbroję,
Odbiegli łoszyn i kwaśne napoje,
Tracą po drodze trzewiki, jarmułki,
Czapki z soboli i zajęczej skórki.
Padają na ziem i jęczą i krzyczą,
A ludzie myślą, że wilki skowyczą. —
Pobojowisko! — puste — pozostały
Wozy, rynsztunek i prowijant cały.

A skoro chrzciny-odbyły się składnie,
Kumy do uczty zasiadają ładnie.

Ale w aptece nie ma tych wybryków,
Aptekarz chodzi śród retort, słoików,
Ręce założył w tył i poświstuje
I z burmistrzowych kłopotów żartuje.
Wysłała posły, tam gdzie bój szaleje,
By mu donieśli co się w rynku dzieje.
Nie wie czy z nowin cieszyć się czy smucić?
Lecz że to radość, więc nie chciał jej kłócić.
Mój ty jurysto nowo-upieczony
Kto ci tę drogę wskazał do obrony?
Ha, pan sekretarz, odstępca, kuzynek,
Izraelitom sprawił ten obrzynek.
Oj sekretarzu, cioteczno-stryjeczny,
Adwersarjusza podpierasz, niegrzeczny!
Niechby się pocił pan burmistrz bogaty

Co stureńskowe miota kondemnaty.
Ale — sekretarz zawsze chwata — i basta;
Widać z naszego ulepiony ciasta.

O wilku mowa, a wilk idzie właśnie;
Rad mu aptekarz, w obie dłonie klaśnie,
Witaj pogromco szatana — chrzcicielu,
Dawniej kuzynie, dziś nieprzyjacielu*.
— Ale sekretarz marudzić nie daje,
Całuje w rękę, barankiem się staje,
A wspominając wspólne antenaty,
Prosi stryjaszka na ratusz — na swaty.
Wzdrygnął się, wstrząsł się aptekarz, zachmurzył
I wszystkie bole i żale wynurzył,
Ale sekretarz błaga mieć na względzie
Że jest sierotą — któż wniesie orędzie?
Aptekarz powiódł po ścianie wejrzaniem
I twarz posępnym powłokła się cieniem,
Poznał sekretarz, co stryjaszka boli;
Zdjął kondemnatę ze ściany powoli,
Z za szkła wyciągnął, i ramy zamyka,
Wetknąwszy nazad popiersie Libika.
Więc się aptekarz nieco udobruchał,
I sekretarza cierpliwie wysłuchał,
A we świąteczne ubrawszy się szaty,
Wyszedł na ratusz z młodzieńcem na swaty.

Panna Aniela u okna czekała;
A skoro gości idących ujrzała,
Z bijącym sercem do robótki siędzie,
Bo wnet przeczuwa, co to z tego będzie.

Przebył aptekarz burmistrzowe progi;
Stoją naprzeciw długoletnie wrogci,
Aptekarz rękę podaje do zgody
I za robione przeprasza przeszkody.
Burmistrz — dziś wesół rad rękę przyjmuje,
Zapomnąć przeszłość szczerze obiecuje,
A gdy aptekarz skierował na swaty,
Ślub wyznaczono w dzień świętej Agaty.
Przyszła i pani, i panna, więc starzy
Siedli do winka co serca kojarzy.
Pili i młodzi i matusia piła,
I zaręczyny córki obchodziła.

A tam na rynku — na bok ceregiele,
Tam już od razu sprawiają wesele.
Tam to szewczykom nie czczy w głowie mrzonki,
Lecz się łokszynem objedli jak bąki,
Także i rybą zgodnie się traktują,
Nawet kuglami obficie częstują.
Lecz na bok rybnie odkładają ości;
To już traktament dla majstrów ichności,
Co to spieszyli z młodzieńczą ochotą
Ochronić miasto przed hańbą, sromotą,

Zresztą by festyn zakończył się czule,
Dodano *ojcom* czosnki i cebule.

Nawet jabłecznik w antałach kiszony
Nie uszedł oka młodzi ucztującej,
I boski nektar pomimo uroku,
Do najbliższego wylali ryszotku.
A tu się szczury zlatują pragnące,
Lubiąc co zimne i fermentujące,
I wychylając głowy po nad chwasty,
Na cześć zwycięstwa spełniają toasty.

KONIEC.



BIBLIOTEKA MRÓWKI.

Centów.

1.	Woronicz. Sybilla	25
2.	Syrokomla. Janko cmentarnik	15
4.	Słowacki J. Kordjan	35
5.	Kraśniński Z. Przedświt	20
8.	Wołowski Ludwik. Praca dzieci	10
9.	Mazurkiewicz. Demokracja polska	30
10.	Goszczyński. Król zamczyska	35
12.	Słowacki. Mindowe	25
13.	Syrokomla. Ułas	20
14.	15. Kochanowski. Pieśni, ksiąg czworo	40
16.	Wernicki. Prześladowanie kościoła unickiego	40
17.	Nałęcz. Renegat, powieść	40
18.	Puzynina. Jadwiga, dramat	40
19.	Syrokomla. Kęs chleba	20
20.	Żeligowski. Jordan	45
23.	Plug Adam. Przyjaciele	35
24.	Piotrowski ks. Okólnik o gwałtach moskiewskich	15
25.	Skiba. Kwiat z Sumatry, powieść humorystyczna	75
26.	Słowacki J. Ojciec zadżumionych. W Szwajcarji	15
27.	Zmorski Roman. Lesław	20
28.	Sawaszkiewicz Porównanie wypraw na Moskwę	30
29.	Brodziński K. Wiesław, sielanka krakowska	10
20.	Zieliński G. Kirgiz, powieść	15
21.	Słowacki J. Anelli	20
32.	Lenartowicz T. Szopka, 2 części	25
33.	Krasicki J. Bajki i przypowieści, wyd. zupełne	20
34.	Kochanowski J. Treny	10
35.	Anna z Podgórze. Z podróży po Europie	40
36.	Morgenbesser. Obrona Sokołowa	50
37.	Goszczyński. Zamek Kaniowski, powieść	35
38.	Krasicki J. Myszeis, poemat humorystyczny	20
39.	Słowacki J. Lilla Weneda	40
40.	— Balladyna	40
41.	Niemcewicz J. U Spiewy historyczne	35
42.	Goszczyński. Sobótka	15
43.	Kochanowski Szachy i Mickiewicz Warcaby	15
44.	Foe Daniel. Robinson Kruzoe	30

45.	<i>Goszczyński</i> Straszny strzelec	15
46.	<i>Brzozowski Karol.</i> Noc strzelców w Anatolji	30
47.	<i>Krasicki J.</i> Satyry	30
48.	— Monachomachja i antimonachomachja	20
49.	<i>Goszczyński.</i> Oda, powieść	20
50.	— Anna z Nabrzeża, powieść z 17. wieku	35
51.	<i>Skarga P.</i> Wzywianie do pokuty	20
52.	<i>Brodziński K.</i> O narodowości Polaków	20
53.	<i>Malczewski.</i> Marja	15
54.	<i>Słowacki J.</i> Poema Piasta Dantyszka o piekle	25
55.	<i>Lenartowicz T.</i> Lirenka	35
56.	<i>Słowacki J.</i> Jan Bielecki, Grób Agamemnona	10
57.	— Książd Marek	35
58.	<i>Lenartowicz T.</i> O Raclawickiej bitwie	20
59.	<i>Słowacki J.</i> Mazepa	30
60.	— Marja Stuart	30
61.—72.	Śpiwnik polski, zeszyt po	20
73.	<i>Rosenblatt.</i> Pojedynek	20
74.	<i>Słowacki J.</i> Żmija	20
75.	— Lambro	20
76.	— Hugo, Mnich, Arab	20
77.	<i>Feliński.</i> Barbara Radziwiłłówna	20
78.	<i>Krasicki J.</i> Wojna chocimska	20
79.	<i>Klonowicz.</i> Flis	20
80.	<i>Szymonowicz.</i> Sielanki	20
81.	<i>Morgenbesser.</i> Palestra	20
82.	83. <i>Szyller.</i> Wilhelm Tell	40
84.—86.	Śpiwnik polski. Pieśni patryjotyczne	60
87.	88. <i>Zimorowicz J B.</i> Sielanki	40
89.	<i>Zimorowicz Szymon</i> Roksolanki	20
90.	<i>Hausner Otto.</i> O pojedyнку	20
91.	92. <i>Słowacki J.</i> Książę niezłomny	40
93.	94. — Sen srebrny Salomei	40
95.	96. — Beniowski	40
97.	— Król-Duch	20
98.	— Waclaw. Poezje ulotne	20
99.	<i>Morgenbesser.</i> Myślący burmistrz	20
100.	<i>Garczyński.</i> Wspomnienia z czasów wojny 1831 r.	20

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

F

4910